

bez autoryzacji

R E L A C J A

pana Eugeniusza **Lauterbacha**
nagrana 4.03.91 w Krakowie przez Tomasza Gleba



Studiowałem we **Lwowie**, a mieszkałem w **Kołomyji**. Jak weszli Rosjanie w 1939, pojechałem do Lwowa na studia. Zrobili tam taką organizację. Tam był jeden profesor i nas paru. I oni mówią tak: uciekamy za granicę. Profesor to był pan pułkownik **Czerwiński**, a miał pseudonim "Blady". Ja swoich kolegów tylko dwóch znałem, to była taka trójka. I z tym pułkownikiem się znałem. To byli koledzy ze studiów. Studiowałem handel zagraniczny. Mieszkałem na **Świętej Zofii**.

Jak się nazywała organizacja, nie wiem. Organizacja była niecałe 20 dni. Ja byłem sekretarzem.

Zabitym był major jakiś, który dobierał się do Polki. To nie ja zabiłem, tylko inni z tej organizacji. Rosjanie szukali tego, kto zabił.

Jak później na sądzie się okazało, siedemnastu nas było. Tylko pan pułkownik uciekł, do **Rumunii**. On był szefem. A myśmy po nim mieli uciekać właśnie do Rumunii. I ja 19 października wyjechałem ze Lwowa - przyjechałem do domu koło 20-go, z kolegą, który miał uciekać za granicę. Przyjechałem do domu, a dom był obstawiony, już Rosjanie czekali na mnie.

20 października 1939, na Ireny, aresztowali mnie. Śledztwo w nocy, od razu, naprzód w więzieniu w Kołomyji coś dwa tygodnie. I okazuje się, że ktoś nas zdradził. Później na sądzie wyszło - to był taki **Kruszelnicki**, kolega, ze **Stanisławowa**, nawet swego szwagra zadenuncjował... Poszedł na stronę rosyjską, do NKWD pracować, i nas wszystkich zdradził.

Dlatego zostaliśmy aresztowani.

[.....]

Śledztwo: należał do organizacji, chciał uciekać za granicę... Ja mówię: nie chciałem nigdzie uciekać, przyjechałem do rodziców. Zaczęli bicie, tak że mi wybili dwa zęby. I polanem drzewa / paliło się w piecyku drzewem/. Tam był taki Żyd malutki, Rosjanin, on prowadził śledztwo. Ja nic nie wiedziałem, to dostałem i z powrotem do celi. W celi siedziało bardzo dużo Polaków.

Za chwileczkę w nocy - znowuż. A później znowu o godzinie, ja wiem? - pierwszej, drugiej w nocy. I tak mnie maglowali 2 tygodnie.

Po 2 tygodniach kazali zabierać się z *wieszczami*, jak mówili, z rzeczami. Wyszedłem. To było więzienie polskie i przed wojną była kaplica. Zaprowadzili mnie do tej kaplicy. A tam był punkt zborny, na transport. Tam mnie wsadzili.

Ludzi pełno, Polaków. Wywieźli nas do Lwowa. We Lwowie na **Brygidkach** znowu śledztwo, może do miesiąca jeszcze. Konfrontacje. Ja się do niczego nie przyznawałem, nigdzie nie należałem - to wzięli kolegę, co razem siedzieliśmy i mówią: "Znasz go?". Ja mówię: "Nie znam". A ja go znałem. "A on mówi, że ciebie zna. I że ty należałeś." Bo on się załamał i wszystko powiedział. Ja mówię: "Ja go pierwszy raz na oczy widzę". Wtedy jego wzięli, a mnie - dawaj! Palce w drzwi i zamykali, żebym się przyznał. Ja się nie przyznałem, powiedziałem, że nie, że mnie niewinnego sądzicie.

Dali mi spokój i w marcu był sąd, sąd 12 Armii. Każdy miał inny otok: jeden czerwony, drugi granatowy, ci sędziowie. Siedemnastu nas było, osiemnastego, który zdradził, nie było.

Nie pokazali go w ogóle.

Był taki Żyd, który tłumaczył, my mówiliśmy po polsku. Przeczytali nam oskarżenie, mnie przeczytali 5 paragrafów: szpion, należał do organizacji, chciał uciekać za granicę, coś tam na radziecki sojusz... Innym po trzy, po dwa...

I wtedy każdy miał ostatnie słowo. Ja stanąłem i powiedziałem, że ja się do tego nie przyznaję i nawet nie słyszałem o takiej organizacji. "*Sadis, sadis...*".

Mieli już przygotowany wyrok - stanął pułkownik, czyta: "Lauterbach - kara śmierci, w ciągu 24 godzin rozstrzelać, rozstrzał w ciągu 24 godzin...". Jak przeczytał - a tu **Stalin** wisiał - popatrzył się na Stalina... Ja się pytam tego tłumacza, co on się na tego Stalina? A ten: "Patrzy, czy on prawdę mówi". I każdemu - jak czytał, to patrzył na Stalina...

Nas dostało wtedy pięciu karę śmierci, dwóch po 25 lat, po 20 już nie pamiętam ilu. Najmłodszy był z **Horodenki**, jego ojciec był właścicielem drukarni - on dostał 10 lat.

Po sądzie - elegancko do więzienia i mnie do osobnej celi wsadzili, sam w celi byłem. Za trzy-cztery godziny otwiera klucznik drzwi: "*Naczelnik* mówił, żebyś pisał kasację...".

[.....]

Przywieźli nas do tego obozu. To były osobne baraki drewniane, duże, było ich może dziesięć. To było za **Irkuckiem**, w lesie. Obóz miał jakiś numer, adres, wiem, bo pisałem do domu /ale oni nic nie dostali/. *Naczelnikiem* był też więzień, ale rosyjski. Tak mówili, bo on mi ukradł koszulę. Ja nosiłem koszulę z Polski, elegancką koszulę. Było ciepło /napalili w baraku/, zdjąłem tę koszulę i położyłem

sobie pod głowę. I zasnąłem. Wstałem później - nie ma koszuli, cholera... A patrzę się za parę dni - idzie mój naczelnik w mojej koszuli. Ja mówię: "A to moja koszula!". A to mi dał wtedy za tę koszulę! Jak mnie zbił! "Co ty, *sobako!*" - do mnie. Ja mówię: "To moja koszula". Żebym ja tego nie mówił, że to moja koszula, bo mnie wykończy, mówią goście, "daj spokój, za durną koszulę będziesz...".

Byli Polacy w tym obozie: **Bocheński**, dyrektor elektrowni, z Kołomyji. On tam umarł, bo dostał takiego szkorbutu, że palec przytknął do ręki i trzy dni chodził z taką dziurą; zęby mu wylatywały...

Do pracy chodziło się do lasu rżnąć drzewo. Ja pracowałem z jednym gościem, nigdy normy z nim nie wyrobiłem. Miałem 50% normy. Trzeba było zwalić drzewo, świerk czy sosnę czy inne, obciąć z gałęzi i później co trzy metry przeciąć piłą. "A co będę się, mówię, za takie jedzenie?..." Zawsze mieliśmy ostatni kocioł. Ja miałem 250 gram chleba na dzień, i to taki chleb, że mógł pan robić szachy: twardy; i jedną zupę. To był trzeci kocioł, ostatni. Pierwszy kocioł dostawał ten, co wyrobił normę, drugi ten, co koło normy.

W obozie było z 10.000 więźniów. Polaków niedużo, było dużo żulików, Rosjan-złodziei, bandytów, co się chwalili: tego zamordował, tego zamordował.

Ja byłem właśnie w takim baraku i tak myślę: "cholera, do tej pracy trzeba chodzić 7,5 kilometra w jedną stronę i w drugą...". I to rano, o czwartej. I ja do tych żulików - bo im trochę pomagałem, paliłem w piecu. A oni grali w karty. Zrobili sobie z dykty karty. I na przykład grali o gościa: kto przegra, ten go w nocy zadusi. Zadusi go. A oni mnie

lubili, bo ja im zapaliłem, coś im zawsze pomogłem. I ja podsłuchałem... A był tam jeden z Polesia, nadleśniczy, Polak. I oni: "O tego sukinsyna gramy". To ja do niego - oni grają w karty - i mówię: "Panie, wychodź pan z tego baraku".

[.....]

Raz było zebranie i trzeba było do tej *katiorki*, gdzie chleb się dzieliło, wybrać, kto będzie rznął chleb. To mnie wybrali. A to tylko dzięki tym złodziejom, tym bandytom. I już do lasu nie poszedłem. I już miałem drugi kocioł, to jest 500 gram chleba i są już na drugie ziemniaki.

Ważylem ten chleb, kroilem i później wydawałem przez okienko. Przyszły te żuliki i mówią: "Dawaj nam!". No to podałem im. I okazało się - remanent był za miesiąc - 100 kilo chleba brak! Ja się bałem, że mnie aresztują... Wyrzucili mnie w pierony! A te żuliki: "Ty się nie bój nic, będzie zebranie, to cię wybierzemy gdzie indziej!". Później się dostałem do kuchni...

A kiedy myśmy do pracy chodzili, to już goście niektórzy, Polacy, staruszkowie - to oni już nogi... Nie wolno było zostać z tyłu, bo od razu strzelali. Pamiętam, jak został jeden taki, został jeden strażnik z nim i za chwileczkę: "pu-pu", przylatuje do nas i mówi: "A to sukinsyn, chciał uciekać".

Później jak ktoś się źle czuł, to brało się go pod rękę i tak się ciągnęło do obozu. Jak by został, to by zastrzelili.

A jakie wszy były!... Tam wszy to coś straszego. Jak tak brało się... przypominam sobie...

Pewnego razu przywieźli nam nowych "gości". Rosjan. Jeden, który był koło mnie umarł - na jakiś skręt kiszek czy czort

jego wie - i...

[.....].

To był już 1940 rok, ale oni i tak wiedzieli, że coś będzie. I mówi do nas, żebyśmy chleba sobie nazbierali za pięć dni, żeby porcje zrobić na drogę. Tam jeszcze ze mną dwóch było, Polacy: **Grzybowski**, a drugiego już nie pamiętam, Jurek, ale nie wiem, który to był.

I on mówi, że on zrobi, że my przejdziemy przez te druty. No dobrze... "Tylko zbierać chleb i pójdziemy, ja was poprowadzę". Nas było czterech.

Wieczorem trzeba było pójść na górę, do tego strażnika porozmawiać z nim. Ten Rosjanin, były enkawudzista mówi do swojego znajomego, więźnia: "idź porozmawiać z nim, a my tymczasem druty przetniemy". Ten poszedł - enkawudzista nas prowadził, a jego kolega poszedł do strażnika na wieżyczkę "na papierosa". Mówi do tego strażnika: "Iwan, ja do ciebie idę". "Chudi, chudi!".

On przeciął, myśmy się wtedy wysunęli i szliśmy - była wtedy noc: dzień, noc, i na drugi dzień wieczorem słyszemy... mówi: "O, *dierewnia!*". A to idziemy i idziemy, tajga. To był gdzieś listopad. Jeszcze nie było takiego śniegu, już było mokro i trochę zmarzliśmy, bo ani ognia nie wolno rozpalić... Idziemy - a tu szczekają psy! Psy szczekają! "Oo, już blisko jest *dierewnia. Charaszo.*" Idziemy na te psy - a to oni...

Oni jak rano zobaczyli - poszli za nami z psami. I zaraz: "*Ruki w wierzch*". Wszystkich nas złapali i odstawili. Panie! - szliśmy prawie cztery dni, a do obozu zaszliśmy za dwie godziny! Myśmy chodzili nie tak, cholerny świat!...

Dotarliśmy do obozu, wszystkich zawołali, nas powiązanych

na górę postawili, na taką scenę-nie scenę, podwyższenie, no i - psy na nas puścili. "O, to sukinsyny udirali", mówią. I psy na nas puścili. Ja tylko się złapałem i tylko żeby... Ludzie wszyscy się patrzyli, bo wszystkich ludzi zwołali. I do karceru!

Był karcer zrobiony z drzewa, na górze miał tylko małe okienko i drzwi. Taka buda. Nas tam wsadzili czterech. Patrzymy - a tam już dwóch siedzi, Rosjan. Jeden mówi: "My tu długo nie będziemy...Zobaczysz...". I w nocy podpalili ten karcer. Z dołu, później dach...Jak zapalili, mówią: "Łażit'e na ziemię". Żeby dym nie udusił.

Jak się zaczęło palić fest - alarm! W szyny! A ciepło nam się zrobiło tam..."Wychadi, wychadi!!". Myśmy tylko wyszli, a dach się pach! - zawalił. No i karceru nie było i kazali nam iść na baraki.

Jeszcze później do pracy chodziliśmy dwa dni, ale w międzyczasie przyszedł nakaz, żeby za karę nas wysłać gdzie indziej.

Po 3-4 dniach na komisję nas biorą. Tych, co uciekali, i zebrali jeszcze paru, później w Krasnojarsku dali więcej ludzi. Na komisji lekarze mieli taką rurkę z drzewa, słuchawkę. Ja mówię, że serce dokucza. "Eee, zdroocowy". Zaraz samochody były i na te samochody.

Wywieźli nas do **Krasnojarska**. W Krasnojarsku na takim placu - przywieźli ludzi jeszcze i jeszcze - i postawili dwie barki i na te barki, na dół. A kto się będzie chciał załatwić, to jest na górze taka deska i do wody.

Dali nas tam, za chwileczkę przyjechał, pamiętam, taki "Lenin", statek, co koła z boku miał, założył nas na hol i

jechaliśmy. Jechaliśmy jakieś 10 dni. W Igarce wzięli nas na statek towarowy. Przyjechałem do Dudinki, zimno już było, gdzieś z początku grudnia. Nie wylądowywali nas. I wywieźli nas na Nową Ziemię. Tam nas wylądowali.

Pamiętam, że tak zmarzłem wtedy... Chociaż miałem walonki, ale byłem taki zamarznięty, zimno cholerne. Nie miałem czapki, później mi dali takie z miejscami na usta i oczy. Szliśmy pieszo trochę i od razu do ziemianek.

Ja wiedziałem, jak się nazywało to miejsce, tam była kopalnia węgla, kopalnia rudy i rtęci. Najgorzej to było dostać się do rtęci. Był port, daleko widziałem. Był port, który od stycznia do jakiegoś marca był w ogóle nieczynny. Wszystko, co przewozili, to samolotami. Pamiętam, jak samoloty lądowały tam. Nasz statek przybił do tego portu i został, i oni tam też zostali. Oni mieszkali w takich domkach drewnianych i murowanych. To jest tundra, tam nie ma żadnych roślin.

Wyspa nie jest górzysta, jakieś pagórki są, ale daleko widać. Później jak słońce w kwietniu, w maju - to wyszło tu i zaszło tu i znowu wyszło tu...I tak dzień i dzień.

Mieszkaliśmy po dwójkę w ziemiankach. To jest wykopany dół i zrobione łóżka z ziemi. W środku jest taka rura, niby piec. Z góry to przykryte ziemią, całkiem równo. Na ziemi jak pan patrzył, to nie widać tych ziemianek, bo to było zasypane równo z ziemią. Tylko komin był.

Port był dość duży, ale myśmy byli z boku. Ale jak się później dowiedziałem, mieszkali tam więźniowie - kiedyś więźniowie, teraz już wolni, ale wracać nie mogą. Na kopalni się tego dowiedziałem.

Myśmy nie wiedzieli, co to jest Nowa Ziemia. Ja nigdy nie widziałem Nowej Ziemi. Ale później, jak już do wojska się dostałem, spojrzałem na mapę, to - huu... za kołem podbiegunowym!...

Tam jest może miesiąc i trochę, że nie ma mrozu. A tak - wciąż zamrożone. I pod śniegiem rosną takie małe drzewka jakieś, malutkie.

Ziemiarki to był obóz, normalny, ogrodzony. Szliśmy rano do pracy. Ziemiarek to było - ooo, dużo. Tam ludzi! Tam straszne życie... Na trzy zmiany robili w kopalni rtęci, węgla i rudy. W kopalni rtęci dużo ludzi poumierało, bo paruje ta rtęć. Na żołądek... Tam porobił miesiąc-dwa i koniec. Ale jak wyznaczył, to co pan zrobi?...

Umierali na żołądek, bo przecież rtęć wydziela jakieś kwasy na żołądek i wszystko spalało tam, cały środek. A oddychać przecież trzeba. Ja tam dzięki Bogu nigdy nie byłem. Tam był taki jeden, nazywał się **Klimaszewski**, i był jakiś z niemieckim nazwiskiem: **Riedmann** czy **Kriegmann**. Ja ich znałem, rozmawialiśmy. Oni nie przeżyli.

Kopalnia węgla była niedaleko obozu, może 2,5 kilometra. Podziemna, wszystko pod ziemią, nie ma nic na wierzchu. Tam tylko to miasteczko, Rosjanie, co zostali, pożenili się.

W okolicy prócz kopalni rtęci i węgla była kopalnia rudy żelaza. Nikt nie powie panu, co tam jeszcze było. Wiem, że tam zrobiona była od tych kopalń wąskotorówka. Wozili nią stamtąd wszystko, do portu.

Potem jak była zima, tośmy przez kilka dni nie szli do pracy. Bo tam mróz 50 stopni to nic! - ale jak jest zawieja, to pan z tej dziury nie wyjdzie! Bo myśmy dalej mieli taki

ustęp, tośmy połączyli drut z tym ustępem i jak szedł /bo nic pan nie widzi!/, to tym drutem pan szedł do tego ustępu i wracał. Jak było mniej stopni mrozu, a zawieja, to też się nie chodziło. A jak było 40 stopni, to się chodziło, człowiek mógł wytrzymać wytrzymać wtedy jeszcze. A teraz?...

A jak tam nie było co jeść... Panie...Niech to szlag... Dali nam makuchy. To jest to, jak wyciskają olej z konopii czy z czegoś i zostaje taka jak deska, jak prasowane. Makuchy. Gotowaliśmy z tego zupę. Ani słodka, ani gorzka.

Tam się trochę mnie udało, bo ja poszedłem do kopalni węgla. Tam na kopalni węgla nie jest tak, jak u nas. Robi się na kolanach, dłubie się. Raz pamiętam, że zawaliło pierwszą zmianę, ja byłem na drugiej. Myśmy przyszli i chcieliśmy odkopać tych ludzi."Aaa, nie nada, u nas dużo ludzi jest".

Później ja się dowiedziałem, że taki jest felczer u nas, Rosjanin. Pracował przy lekarzu. Ja mówię do niego:"Co ja mam robić, przecież ja się boję, żeby mnie nie zasypało". Bo o nbył zaraz w sąsiedniej ziemiance. No i mówię do niego, jak to zrobić. A on:"Idź do lekarza i powiedz, że cię serce..". "Jakie serce?". A on mówi:"Jak przyjdiesz do tego baraku, on woła za *bukwą*: A, B, C i tak dalej. Jak będzie K, to potem będzie L - to już się duś. Nic nie oddychaj! I jak powie Lauterbach, to wtedy wejdź. Serce ci będzie tak pukać...".

Poszedłem, zapisałem się. Już K idzie, to ja się duszę, duszę, już nie mogę... A oni wychodzą i mówią:"*Prikurka*, można palić". Przerwa. O kurdele!... No i za chwileczkę - jeszcze ktoś tam był na K... Duszę się, już niemogłem wejść do tych drzwi!... "No co?". "Serce", ja mówię. On tak słucha:"*Da, da*, serce. To będziesz *rabotał* na górze, będziesz

wózki pchał." W to mi tylko graj!

To zrobiłem w niecały miesiąc po przybyciu. I właśnie dlatego mi się tak udało.

Byłem tam do **sierpnia 1941**.

W sierpniu 1941 roku ogłaszają przez głośniki, że będziemy walczyć przeciw Niemcom. I wyczytują, kto, żeby się zgłosić do biura. Ja myślę: "żeby mnie tylko, chlera...". I niedużo ludzi wyczytali. Bo zdjęcia robili, z numerami. Tam **Jaworski** był ze mną też. Mówili o nim, że został rozstrzelany jeszcze we **Lwowie**, ale on powiedział, że jest Ukrainiec. A on był Polak! Myślał, że jak będzie Ukrainiec, to że jego w ogóle puszcza! I później on mówi do tego Rosjanina: "A ja co?". "A ty Ukrainiec, to jak ty możesz?".

Mnie też wyczytano. Nie wyczytano dużo, ze stu ludzi, więcej nie. Jechaliśmy później nie barkami, tylko statkiem. Kipiatok nam puszczał maszynista z kotła z tą oliwą, myśmy pili. Stu ludzi... nawet nie było stu, nie, niedużo.

Zrobili nam zdjęcia z taką tablicą: numer tam był. Dali każdemu papier i zdjęcie przyklepione. Wzięli nas na statek /"Lenin" się nazywał/ i wywieźli nas do **Dudinki**. W Dudince znowuż statek, ale inny, "Woroszyłow" chyba. Kogoś doładowano, bo nas było potem więcej. Jechaliśmy dalej długo, chyba za 2 tygodnie, dlatego, że pod prąd. Dali nam 5 kilo chleba, ja na tym chlebie spałem, bo kradli, nasi też kradli. Jechali tylko Polacy. Jadło się tylko chleb, piło wodę: prosiło się maszynistę, żeby puścił ciepłą wodę

W **Krasnojarsku** nas wysadzili i kazali iść do łaźni. I pamiętam - pierwszy raz kobieta mnie myła w łaźni.

[.....]

była aktorką, nie Rosjanka, ale Tatarka. Otworzył drzwi, wyskoczył i przyniósł dzbanek herbaty skądś i chleb. I mówi: "Wy będziecie w kuchni spać, a my z żoną będziemy spać w pokoju". Z desek zrobione łóżka, dziadowskie. "Tu będziecie, mówi, i ja was podkarmię parę dni, aż pójdziecie szukać wojska".

Myśmy tam byli trzy dni, trzeciego dnia on mówi: "Musicie iść, bo mnie już tu śledzą. Coś wachają, NKWD, żebym ja nie miał nieprzyjemności. Ja was odprowadzę w nocy na stację, a wy jedźcie do **Taszkientu**, bo tam chyba jest wojsko."

Wyprowadził nas w nocy /ze mną był mój kolega, który potem zginął pod Monte Cassino/, dał nam po 100 rubli, pożegnał się, pocałował i mówi: "Zobaczymy się w Polsce".

Przyjechaliśmy do Taszkientu. Ja patrzę - a Polki wszy biją!... O rany... A my tu mamy pieniądze, to może coś kupimy. Wchodzimy, pytamy - a nas nabrał chyba ten Rosjanin, bo mówi: "Chleb tam sprzedają, chleb!". Wchodziło się jedną stroną, a wychodziło drugą. Wchodzimy z tym kolegą, ona się pyta: "Skolko?". A ja mówię: "Pięć". A ona pięć gazet mi daje. Bo gazety kupowali na machorkę, po to był ogonek, nie po chleb. Nawet po gazety na machorkę trzeba było w ogonku stać.

Kupić nie było gdzie, bo wszystko na kartki, a każdy miał kociołek po margarynie amerykańskiej, to miałem jeszcze z Irkucka. Poszliśmy na stację. Patrzę - a tu sterta zboża. Pod gołym niebem, lało tam, deszcz, nie deszcz... Okazało się, że to żyto. No, zagotujemy, może zjemy. Wzięliśmy to żyto, wodę, dwa-trzy kamienie - palimy. A tacy głodni, jak cholera! Chodzimy, jeszcze twarde, jeszcze twarde... No i mówię: "Ee, jemy!". Wody tam już prawie nie było, wygotowała się - a to

twarde. Zjedliśmy.

Na drugi dzień - jak pan zjadł, tak pan kupę zrobił, wszystko wyszło to samo. Takie samo zboże!

Powiedzieli nam, że ma tam być jakaś placówka. Chodzimy, pytamy się takich, czy jest tu taka placówka: "Jest! Tam...". Patrzymy - jest, napisane po polsku i po rusku. I coś tam tak grają, śpiewają... Wchodzimy na korytarz, jest pokój i napisane tam po polsku, że to jest placówka poborowych do wojska czy coś takiego. Wchodzimy - patrzę, a nasz pan porucznik za stołem siedzi, zachlany już prawie, kobiet pełno, Rosjanek, Rosjanów, jedzenia pełno... Przychodzimy do niego i pytamy, czy już przyjmują do wojska. "Jeszcze nic nie ma... jeszcze nic nie ma...". No to niedobrze, mówię. My głodni, pan nam jakieś zapomogi albo coś... A kolega: "A co się będziesz jego pytał...", wziął ze stołu... Kielbasa była, chleb - wziął, do tego kociołka, do tego kociołka... A porucznik: "Co wy robicie?! Przecież nie wypada...". "A co, to wypada?!...". I poszliśmy.

Mówią, że w **Nowosybirsku** coś tam jest, wojsko. To my wsiadamy do pociągu do Nowosybirska. Po drodze nas wyrzuciła konduktorka. Bez biletu byliśmy. Czyste pole, taka budka tylko jedna, budka i więcej nic. Kolchozy, kolchozy i jakiś uran. Cholera. co tu robić? Pociąg dopiero jest za 12 czy za 13 godzin. Patrzymy się - jest taki ogród. A głodni jesteśmy, ho, ho... Dynie są. I te dynie jedliśmy /a to kolchozne wszystko/. A później biegunka!... Jeszcze na stację poszliśmy, dobrze, że był tam gorący *kipiatok*. Napiliśmy się tej gorącej wody i czekaliśmy.

Był pociąg, wsiedliśmy. Ale już teraz cwaniacy: wleźliśmy

na półkę, jeden z jednej strony, drugi z drugiej, tam, gdzie bagaże się wkłada, położyliśmy się i jedziemy.

Do Nowosybirska przyjechaliśmy: "Gdzie tutaj... nie ma nic...", wszyscy nam mówią.

Bo myśmy późno przyjechali. Ci, co przyjechali wcześniej, to Anders miał w Buzułuku. A ja za późno trochę byłem, to już był sierpień-wrzesień.

No i gdzie my pojechaliśmy? Na... jak to się nazywa... taka miejscowość... Tam pojechaliśmy, przyjeżdżamy, a już tam ludzi pełno jest na polu. Jeden barak jest zbudowany i tam ma przyjmować komisja, i jest coś jak wieża, to jest kuchnia. Raz dziennie dają zupę.

Myśmy się zgłosili, że do komisji. Bo to komisja ma być. Na drugi dzień byłem tam, ja wiem? - z setny. A tam był Żyd, cholera - wziął mnie na wagę: 48 kilo. Mówi: "Nie, nie nadaje się do wojska". I mnie odrzucił. Tego kolegę wziął, a mnie odrzucił. Myślę: co ja teraz zrobię? Będę czekał? Na co będę czekał? Ale myślę - poczekam.

Tam umierało dużo ludzi na tyfus. A zupa raz dziennie, to pan nie przeżyje. I Rosjanie powiedzieli: "kto pomoże wynosić trupy do dołu, dostanie więcej jedzenia". To myśmy - ja z jednym - zgłosiliśmy się. Nosiliśmy na takich nosilkach, do dołu i wapnem... To ja tak dziennie, bo ja wiem, może 30 trupów wyniosłem, i kobiet, i mężczyzn. Lepsze jedzenie było.

Ale już potem ludzie tak nie bardzo umierają, my leżymy na trawie, patrzę, ktoś przechodzi i do mnie: "A ty co tu robisz?". A ze mną był na Nowej Ziemi jeden lekarz z Poznania, Zbyszek, ale jak nazwisko? Mówię mu, że stawałem do poboru i mnie nie przyjęli. "Ja mam dzisiaj dyżur, przyjdź

dzisiaj, zgłoś się zaraz".

Dobra, zapisałem się. Zawołał mnie: "Siadaj". I on sam mówił: "78 kilo, 175...", a tam pisali. "Zdolny, zdolny". I bach - dali mnie do kompanii, ale nie tam, gdzie kolega, tylko do drugiej.

Cwiczyliśmy karabinami z drewna. Umundurowanie dostaliśmy angielskie, spodnie eleganckie. Spaliśmy już w namiotach, już co innego, i do łaźni chodziliśmy.

[.....]

Kolega mój pewnego dnia - tydzień, półtora tygodnia po ćwiczeniach, już lepsze jedzenie - mówi do mnie, że transport będzie. A ja w swojej kompanii nie słyszałem nic. Mówię:

- Jaki transport?

- Wyjeżdżamy stąd.

- To ja a wami pojedę.

- Bo generał **Szyszko-Bohusz** mówił nam, że odjeżdżamy, że trzeba iść do łaźni i na stację wszyscy.

To ja myślę: od razu na stację pojedę. Plecak, chlebak, wszystko w pierony zostawiłem, bo jakbym z plecakiem wychodził, toby od razu zobaczyli, że ja...I jak oni do wagonu wsiadali, to i ja wsiadłem. Zaprowiantowali nas i jedziemy.

Jechaliśmy może pół dnia, do **Krasnowodzka**. W Krasnowodzku nas elegancko przeprowadzili do statku. Statek był po ropie, cysterna, pamiętam, bo nowe ubranie sobie tam powalałem. Wsadzili nas na dół i cicho, bo już odjeżdżamy.

Na pełnym **Morzu Kaspijskim** zrobił Szyszko-Bohusz zbiórkę. Wszyscy stoją: "Odlicz", mówi porucznik. Odliczyli wszyscy. Jeden za dużo! Znowu: "Odlicz". Jeden za dużo. I ten melduje

generałowi, że jest za dużo! A ja się bałem! Myślę: cholera, wrzuci mnie do morza, bo za dużo! Tak sobie człowiek myślał! I mówią: "Kto nie z tej kompanii, niech wystąpi!" To ja myślę: cholera, wystąpię, co mi zrobi, wyrzuci mnie?... Wystąpiłem 4 kroki do przodu, a generał:

- To żołnierz?! Ucieka ze swojej kompanii!..

A za chwileczkę zaczyna się śmiać:

- Z tego "raju" wszyscy uciekają! - klepie mnie po plecach - Zaprowiantować go!

Przyjechaliśmy do **Pahlevi**. To jest... **Persja** była dawno, teraz jest **Iran**. Tam byliśmy na kwarantannie 2 tygodnie. Tam były zastrzyki przeciw... bo to zarazy w Rosji.

Stamtąd przyjechaliśmy przez góry Iranu, na Irak, tu był gorąc jak cholera, myśmy w krótkich spodniach - a tam śnieg, zimno. Do Iraku, z Iraku do **Palestyny**. W Palestynie zostałem wciągnięty do III Dywizji Strzelców Karpackich, pierwszy baon, pod dowództwem **generała Ducha**. A dowódcą mojego baonu był **pułkownik Peszek**.

Stamtąd poszedłem do **Giedery**. **Giedera** to była miejscowość niemiała, kiedyś Palestyńczycy mieli, teraz Żydzi mają. Tam byłem 6 miesięcy w podchorążówce, później pojechaliśmy do **Egiptu**, z **Port-Saidu** wyjechaliśmy do **Włoch** statkiem. Od **Pescary** szliśmy już jako wojsko aż do **Ankony**. Pod Ankoną walczyliśmy, tam dużo zginęło, nawet **Okulickiego** syn zginął wtedy. Jak myśmy zdobyli Ankonę, przerzucili nas tam, gdzie jest fabryka harmonii, zapomniałem, do **Alp** prawie /w skrócie mówię/, a stamtąd pod **Monte Cassino**. Pod Monte Cassino przyszliśmy w marcu i tam byliśmy do zdobycia, ja byłem do 19-go. Tam dużo zginęło, ja dostałem trochę. Dwa razy do

natarcia szedłem. W mojej kompanii zginęło stu kilku ludzi - ze 125. Później braliśmy tych fajfusów, tych, co buty czyścili, kucharzy, żeby uzupełnić stan.

Ale najgorzej to dostałem - pan nie widzi, że ja bez oka jestem? - pod **Sangrą**, już przy końcu wojny, w kwietniu. Dostałem w natarciu, ciężka artyleria... Jakbym był dalej, toby ze mnie nic nie było. A że byłem blisko, to ten podmuch... Podmuch i takie małe odłamki. Jedno oko się wylało, czułem, jak mi takie ciepło po policzku...Miałem tu wtedy czarne od prochu. I mnie ten podmuch... Innym, którzy byli dalej, nogi pourywało. głowy. Ja jak dostałem, to i na jedno. i na drugie oko nie widziałem nic. I tam był kolega **Kaczan**: żeby mu nogi... Ja mu tak macam, a on ma dwie nogi urwane i na kości tak... Miałem bandaż, to mu zawinałem... Ale siły już... straciłem przytomność. Inni poszli naprzód, a nas zostawili.

Po jakimś czasie odzywam się do niego, a on już nie żył. Inni nie żyli. Ja raz straciłem przytomność, znowuż odzyskałem...Wzięli mnie później na muły, jeden ranny z jednej strony, drugi z drugiej, przywieźli do lekarza.

Lekarz mówi do księdza: "Z niego nic nie będzie". To ja po pistolet - a oni mi już zabrali... Wysłowiadałem się i ostatnie namaszczenie mnie dał. Ale zawieźli mnie do amerykańskiego szpitala do **Rimini**. W Rimini jak zaczęli - siedem razy miałem operację oka. I uratowali mi jedno oko. Widziałem dobrze, przecież ja przepracowałem jeszcze 30 lat!

Oni mnie wyleczyli. Stamtąd mnie wywieźli samolotem do **Anglii**. Byłem tam w **Szkocji** w szpitalu, tam mi ćwiczenia różne oka robili.

Do Polski przyjechałem w 1947 roku. Ja nie chciałem jechać, ale ojciec... Kolega jechał jeden do Polski, jeszcze z Włoch jechał. On był z Katowic. I ja mu mówię: "Poszukaj, gdzie moja rodzina jest". I on nie znalazł. Dostaję list: od niego i od ojca. A ojciec był ciężko chory, bo ojciec był nadleśniczym, inżynier leśny był i dostał od Ukraińców w kręgosłup i ten kręgosłup się psuł i był już konający. Pisał, że chciałby mnie jeszcze widzieć. A ja już pracowałem w sztabie koło Londynu, już wyszedłem ze szpitala. Wyszedłem gdzieś w początku 1946.

Zapisałem się do Polski na wyjazd. A tam taki był pułkownik, jak on się nazywał... mówi: "Ty, co ty robisz? Do komunistów? Co ty, zwariował?". To ja się wypisałem.

Napisałem do domu, wysłałem. Później dostałem list - znowuż się zapisałem!

I tak siedem razy. Ósmy raz powiedziałem: "Ja jadę w cholere, co będzie...".

Przyjechałem do Gdańska, tam we Wrzeszczu był obóz, byłem w tym obozie. Trzeba było przejść przez ten obóz. Szybko mnie załatwili, osiem dni tam byłem: "gdzie, po co, na co, itd.itd.". A ojciec w międzyczasie wrócił z lwowskiego tutaj i chorował, był w Stalowej Woli. Już nie pracował, był chory. Przyjechałem do tej Stalowej Woli i trzeba było się zgłosić na milicję. Zgłosiłem się na milicję: "No, będziecie chodzić do mnie co piątku, meldować się.". I tak, cholera, przez trzy miesiące co piątku chodziłem tam się meldować. Do pracy - dobrze, że miałem znajomych, że mnie przyjęli do pracy, bo inaczej nie chcieli przyjąć do pracy. Byłem za granicą...

Meldowałem się. Ja się nauczyłem na pamięć, a on pytał

się: po co przyjechał do Polski, na co przyjechał, jak mi się ustrój nie podoba itd...I podpisze pan.

Raztak było, że tego gościa, co mnie pytał, nie było. I oni mówią: Nie, nie wypuszczamy pana, musi on przyjść. Całą noc tam siedziałem na milicji. W domu się denerwowali, że mnie znowu aresztowali.

Pracowałem później nawet na dobrym stanowisku, bo byłem nawet dyrektorem administracyjnym budowy pieców przemysłowych, 30 lat pracowałem, to znaczy z początku nie pracowałem jako dyrektor, później. Ale jak mnie zaczęli naciskać, żebym się zapisał do partii, a ja wciąż tłumaczyłem, że ja jeszcze nie znam, bo ja muszę przeczytać, co to jest Lenin, co to jest Marks, muszę wiedzieć, co to jest komunizm... "Być w partii, mówię, a nie wiedzieć nic, to po co to". I oni mi tak odwlekali. A później widzę:ooo, coraz mocniej... To ja mówię: lata mam, jako inwalida wojenny mogę wcześniej - idę w cholere na emeryturę! I poszedłem.

No i tak.

Ja miałem szczęścia dużo, dużo szczęścia w życiu...Przecież mój stryjeczny brat tak samo został aresztowany - po roku już go nie było. Zginął w kopalni, zasypało go.